

Jan Lechoń

Mochnacki

W r. 1832 Maurycy Mochnacki koncertował w Metzu.

Mochnacki jak trup blady siadł przy klawikordzie

I z wolna jął próbować akord po akordzie.

Już ściany pełnej sali w żółtym toną blasku,

A tam w kącie kirasjer w wyzłacanym kasku,

A tu bliżej woń perfum, dam strojonych sznury,

A wyżej, na galerii – milcz serce! – mundury.

Tylko jeden krok mały od sali go dzieli,

Krok jeden przez wgłębienie dla miejskiej kapeli –

On wie, że okop hardy w tej przepaści rośnie,

Więc skrył się za okopem i zagra o wiosnie.

Rozpędził blade palce świergotem w wiolinie

I mały, smutny strumień spod ręki mu płynie.

Raz w raz rosa po białej pryska klawiaturze

I raz po raz w wiolinie kwitną polne róże.

Rosną. Większe, smutniejsze, pełniejsze czerwienią,

Coraz niżej i niżej, uschną, w bas się zmieniają!

Nie. Równy, równo rosną w jakiś smutny taniec,

Rozdrganą klawiaturę przebłagał wygnaniec

I nagle się rozpląkał po klawiszach sztajer,
Aż poszedł szmer po sali, sali biedermeier.
Głupio, sennie, bezmyślnie kręci się i kręci.
Jakieś myśli chce straszne wyrzucić z pamięci,
Do piersi jakąś białą przytulił pierś drżącą
I czuje tuż przy piersi nieznośne gorąco,
I tysiąc świateł w oczach, w czyjejś twarzy dołki,
I zapach białej sukni, ubranej w fijołki.
Nagle złoty kirasjer poruszył się w kącie.
Sto myśli, jak kanonier, stanęło przy loncie,
Stu spojrzeń obcej sali przeszyły go miecze,
Wstyd idzie ku estradzie – czuje, jak go piecze.
Więc do basu ucieka i tępo weń tłucze,
Po tym tańcu szalonym niech ręce przepłucze,
Z tych czerwonych, duszących róż otrząsa płatki,
Rozsypuje po sali w tysiączne zagadki,
W sto znaków zapytania, sto szmerów niechęci,
Nie pyta. Już jest w basie. Już tam się wyświęci.
Raz, dwa, trzy, cztery – wali. Niechaj mu otworzą,
Niechaj wyjdą z chorągwią, wyjdą z Matką Bożą,
Niech mu końskie kopyta przelecą po twarzy
I niechaj go postawią gdziekolwiek na straży:
Na ulicy stać będzie z karabinem w dłoni...

...Słyszysz sala: ktoś idzie, ostrogami dzwoni –

Ostroga śpiął melodię, a akompaniament

Szaleje, krzyczy w basie, rośnie w straszny zamęt –

Ku sali bagnetami już mierzy, już blisko –

I ton jeden uparcie wybija – nazwisko!!!

Wciąż czyste, w rozszalałe wplątuje się głosy

I wali, wali w basie murem Saragossy,

Oszalałych Hiszpanów wyciem, darcie, jękiem

I znów wraca ku górze załzawionym dźwiękiem –

W mazurze – nie – w mazurku idą wszystkie pary,

By całą klawiaturę owinać w sztandary.

Zatrzymali się wszyscy w srebrzystych kontuszach,

A klawikord im ducha rozplómił w duszach

I wzdłuż długich szeregów przewija pas lity,

Tysiąc głów podgolonych podnosi w błękity

I wszystkie karabele jedną ujął dłonią,

I uderzył w instrument tą piekielną bronią,

Aż struna się ugięła, ta w górze, płaczliwa.

I cisza jest w violinie. Cisza przeraźliwa.

Po martwej, głupiej strunie, po fijołków woni,

Po czyichś smutnych oczach, jakiejs białej dłoni,

Jakichś światłach po nocy i szeptach w komorze,

Po księżycu, po gwiazdach – mój Boże! mój Boże! –
Gdzieś się gubi i zwija, przeciera pas lity,
Po księżycu, po gwiazdach, po Rzeczypospolitej.
Po sali idzie cisza przeraźliwa, blada
I obok tęgich boszów w pierwszym rzędzie siada.
Wzrok wlepia martwy, ślepy, w jakiś punkt na ścianie
I patrzy w Mochnackiego, kiedy grać przestanie.

A on, blady jak ściana, płacze, zrywa tony
I kolor spod klawiszy wypruwa – czerwony,
Aż wreszcie wstał i z hukiem rzucił czarne wieko
I spojrzał – taką straszną, otwartą powieką,
Aż spazm ryknął, strach podły, i z miejsc się porwali:
„Citoyens! Uciekać! Krew pachnie w tej sali!!!”

Przedruk za: Jan Lechoń, *Poezje*, opracował Roman Loth, Wrocław 1990, s.
16-21.